



Mirosław Derecki (M.D.)

## EKRAN I WIDZ: TROCĘ TYMA, TROCĘ BAREI, W SUMIE...

Telewizja uraczyła nas niedawno wznowieniem „Bruneta wieczorową porą” Stanisława Barei, teraz na ekranach kin ukazała się najnowsza komedia tego reżysera; „Co mi zrobisz jak mnie złapiesz”.

Komu idzie karta, ten nie ma szczęścia w miłości? Stanisław Bareja nie miewa podobno kłopotów z widzami, a jego filmy - jeżeli wierzyć reklamie - „oglądane są w wypełnionych po brzegi salach kinowych”, natomiast nie cieszy się Bareja miłością krytyki. Zarzucano mu często miałość podejmowanych tematów, niewysoki poziom artystyczny jego filmów oraz to, że humor w kolejnych komediach Barei jest płaski, schlebiający widzowi. Inaczej mówiąc że kreci on swoje filmy „pod publiczke”. Próbował również Bareja innych niż komediowa konwencja, jał się swego czasu tematów kryminalnych, ale powstał z tego przede wszystkim niechlubny serial telewizyjny. Podobno jeszcze do dzisiaj nasi stróże porządku publicznego czują się mocno urażeni, jeśli im ktoś powie: „działasz pan jak kapitan Sowa na tropie”.

Ale przecież z kolei poprzedzającej „Bruneta wieczorową porą” komedii „Nie ma róży bez ognia” nie można uważać za rzecz nieudaną. Otrzymaliśmy wtedy swego rodzaju „żart filmowy”, pozwalający widzowi rozluźnić mięśnie i wyjść po skończonym seansie z kina z dobrym samopoczuciem. Po „Nie ma róży...” przyszedł jednak „Brunet Wieczorową porą” sprawiający wrażenie jakby reżyser cofnął się niemal do lat szkoły filmowej. Banalna intryga, rozlązająca się w szwach dramaturgia, dłużyzny tylko tu i ówdzie przetkane kabaretowym „gresem” nie najwyższego lotu, prowadzenie kamery i sposób narracji, przywodziły na myśl przedwojenne komedie filmowe. I to nie wszystko. Po co Telewizja Polska przypomniała „Bruneta wieczorową porą” Bóg jeden wie...

Wydaje się, że Bareja od początku swojej reżyserskiej działalności nie ma szczęścia do scenariuszy. Posiadając wyczucie aktora - jego filmy są zawsze bardzo trafne obsadzone i widać wyraźnie, że tacy doskonali aktorzy jak Kowalewski, Pawlik, Gołas, Maklakiewicz, Kaczor, Friedman czy Pokora po prostu lubią grać u Barei - zbyt łatwo zawierza on scenarzyście. I potem jest tak: zręczny scenarzysta - film Barei całkiem niezły; scenarzysta

mniej zręczny - film Barei - niedobry. I tak na przemian. Aż w końcu zdeorientowana trochę, a na pewno zirytowana krytyka, znajduje sobie w Barei przysłowiowego „chłopca do bicia”.

Jednym z najlepszych chyba filmów Barei był jego debiut z 1961 r., „sportowa” komedia „Mąż swojej żony” z doskonałą rolą Bronisława Pawlika, jako zdolnego naukowca zupełnie zagubionego i niedocenianego z powodu... żony, słynnej lekkoatletki. Potem jednak było „Dotknięcie nocy” oraz nieudana „Żona dla Australijczyka” i... serial o kapitanie Sowie. Ale „Małżeństwo i rozsądku” (1966 r.) wsparte piosenkami Agnieszki Osieckiej, z Elżbietą Czyżewską i Danielem Olbrychskim w głównych rolach, było całkiem udanym komediowym „musicałem”.

Ostatnie komedie filmowe Barei coraz bardziej skłaniają się ku formie jakby satyrycznej kabaretowej składanki, i w tym jest zarówno ich siła jak i słabość. Siła - kiedy cieszą nas kolejne „numery” z pogranicza satyrycznego kabaretu wykonywane przez doskonałych, sprawdzonych właśnie w kabarecie aktorów, słabość - kiedy szereg kolejnych satyrycznych tekstów napisanych przez utalentowanego autora, nie potrafi złożyć się na spójną dramaturgicznie całość. A myśl przewodnia filmu jakby wymykała się w pewnym momencie z rąk i scenarzysty i reżysera. Pozostaje wtedy doskonałe aktorstwo i zręczna reżyseria poszczególnych scenek, ale to za mało na dobry film.

Podobnie jest z najnowszym filmem Barei „Co mi zrobisz jak mnie złapiesz” powstał w oparciu o scenariusz pisany przez reżysera wspólnie ze Stanisławem Tymem, jednym z ciekawszych naszych satyryków, filarem dawnego warszawskiego STS-u? Tym był zresztą również współscenarzystą „Nie ma róży bez ognia” to właśnie jego sposób widzenia świata, jego pomysłowość pisarska i bardzo specyficzny, zatraćający często o groteskę rodzaj humoru bazujący na doskonale znanych współczesnych realiach, zaważyły na kształcie artystycznym i społeczno-obyczajowej wymowie obydwu filmów

„Co mi zrobisz jak mnie złapiesz” opowiada o niesłychanych perypetiach pewnego dyrektora (Krzysztof Kowalewski) usiłującego zdobyć dowody, iż zdradza go żona. Aby potem wystąpić o rozwód, a wreszcie - ożenić się z córką „bardzo wysoko postawionej osobistości”. Angażuje dyrektor w tę grę swojego zastępcę (Stanisław Tym), szereg pracowników podległej mu fabryki i nawet dawnego szkolnego kolegę (Bronisław Pawlik), którym dotąd pogardzał, jako „życiową fajtlapą” niemającą siły przebicia za wszelką cenę. Tropienie wymagowanych nieprawości nie przeczuwającej niczego, atrakcyjnej zresztą bardzo małżonki (Ewa Wiśniewska), daje i scenarzyście i reżyserowi możliwość podpatrzenia licznych scenek z naszego codziennego życia, wskazywania na nasze przywary, na nierzadki brak poczucia odpowiedzialności obywatelskiej czy wreszcie po prostu - bałaganiarstwo lub kanciarstwo.

Ale też w pewnym momencie twórcy „Co mi zrobisz jak mnie złapiesz” zapominają, że komedia ma nie tylko śmieszyć, ale i ośmieszając - uczyć. Aby z powodzi zabawnych incydentów i wywołujących na sali wybuchy śmiechu kolejnych sytuacyjnych „zbitek”, nie utrwaliło się w pamięci widza przede wszystkim owe: „no i co mi zrobisz?” W sumie: w komedii zabrakło trochę morału a pozostało trochę Tyma i trochę Barei... I to byłby chyba dla Barei morał na przyszłość.

Pierwodruk: „Kamena”, 1979, nr 3, s. 14.